

Duch:

5. Czas pohandlować

Spokojnym, ale zdecydowanym krokiem wyszedłem zza budynku, z automatem przy ramieniu, chociaż z opuszczoną lufą, dając jasno do zrozumienia, że ewentualnie chcę tylko się bronić. Obaj mężczyźni na mój widok zerwali się z miejsc, również z bronią w rękę. Mieli stare karabiny Kałasznikowa i zdałem sobie sprawę, że jedna seria przebiłaby moją kuloodporną kamizelkę bez trudu. Ale lufy ich karabinów również mierzyły w ziemię. W moim kierunku, ale mimo wszystko jednak w ziemię. Trochę jak "dzień dobry" zamiast "wypieprzaj". Dobry początek. Zmierzyłem dokładnie ich od stóp do głów, skupiając się na szczegółach.

- Duch. - Powiedział do mnie jeden z nich, skinął głową i pierwszy wyraźnie i zdecydowanie jeszcze bardziej opuścił lufę karabinu, po czym zawiesił go na ramię na skórzanym pasie. Poznałem go. Nazywał się Bolesław i miał jakieś trzydzieści pięć, może sześć lat. Był brunetem, chociaż między jego włosami było sporo siwych nitek. Pod dawnym, policyjnym mundurem policyjnych służb specjalnych widać było wyraźne mięśnie. Oczywiście to, że ubranie było policyjne poznałem tylko po jego kroju, już dawno temu wszelkie oznaczenia zostały odprute. Skinąłem mu głową. Wiedziałem, że przed tym wszystkim, co nas spotkało, był policjantem i faktycznie należał do oddziałów antyterrorystycznych. Miałem do niego jakotakie zaufanie, na tyle, na ile można było mieć w dzisiejszym świecie. Kilka razy już handlowałem właśnie z nim. Zwracał się do mnie "*Duch*", chociaż wiedział, kim jestem. Wciąż należał do obozu, z którego uciekłem. Jednak tak, jak ja, szczerze nienawidził Mariusza - ich przywódcę. Nie opuściłem na razie automatu, popatrzyłem bez słowa na drugiego chłopaka. Ten z kolei był w moim wieku, jeśli nie młodszy. Z jakiegoś powodu nie spodobał mi się od samego początku. Miał na do dyspozycji zwykłą, przeciwsmogową maskę chroniącą tylko pół twarzy oraz narciarskie gogle, uszczelnione kawałkami materiałów, chociaż te ostatnie były zrzucone na szyję. Patrzył na mnie czujnie, chociaż widać było w jego spojrzeniu, że był na terenie miasta pierwszy raz. Ta dzika butność, że ma *kałacha* i co to on nie jest. Po tym spojrzeniu można było wyczytać, że chłopak jak na razie miał do czynienia co najwyżej z szarakami, jeśli w ogóle z czymkolwiek.

- To Paweł, wdraża się. Dzisiaj jest jego pierwszy handlowy rajd. W ogóle pierwsze wyjście na zewnątrz bazy. Nie słyszałem ani jednego twojego kroku - dodał Bolesław, a ja popatrzyłem raz jeszcze krytycznie na chłopaka, zmierzyłem go dokładnie wzrokiem, spojrzałem na jego dłonie zaciśnięte na karabinie i westchnąłem cicho pod maską. Widziałem, że bezpiecznik jego Kałasznikowa wciąż blokował broń. Jedna sekunda, to uniesienie lufy mojej FN-ki w ich stronę, druga to wciśnięcie spustu. W trzeciej już by nie żyli, rozerwani w połowie dłuższą serią. Cóż, widocznie Bolesław coraz słabiej dobierał partnerów. Albo w ich obozie było coraz gorzej z ludźmi. Uśmiechnąłem się do moich myśli i odwiesiłem karabinek na ramię - wciąż odbezpieczony i nastawiony na ciągły ogień. Pamiętając jednak o tym, starannie przytrzymałem go przy ciele. Czasem ta jedna, jedyna sekunda potrzebna na zdjęcie bezpiecznika wystarczała, by przegrać. A ja nauczyłem się już, że broń zawsze jest gotowa do strzału i po prostu nie było takiej sytuacji, żebym przypadkiem dotknął spustu. To było jedyne rozsądne rozwiązanie w tym świecie. A dlaczego w ogóle prowadziłem handel z innymi? Bo niestety nie byłem w stanie znaleźć i zdobyć

wszystkiego samodzielnie. Oni też nie. Na szczęście nasze potrzeby i możliwości w pewnym stopniu ułatwiały współpracę. Zdjąłem plecak na ziemię, kucnąłem obok niego, rozpiąłem klapę. Byłem pewny, że Bolesław zauważył szczegół w moich ruchach, tak samo jak tego, że Paweł nie zwrócił na to najmniejszej uwagi - obie moje dłonie przez cały czas były bardzo blisko siebie. Oczywiście, dzięki szerokim rękawom wojskowej kurtki nie było tego widać, ale na lewym przedramieniu miałem bojowy nóż. Jeden ruch prawej dłoni, by go wyciągnąć, drugi, by podciąć gardło. Raz takie zabezpieczenie uratowało mi życie - gdy w ostatniej chwili wyszarpnąłem nóż i wsunąłem go między szczęki atakującego mnie dzikiego psa. Złamał wtedy ostrze, ale dało mi to dość dużo czasu, bym mógł przyłożyć do jego brzucha mojego Glocka i wywalić pół magazynka. Bolesław usiadł na ławce zrobionej z połowy starej beczki. Chłopak, który mu towarzyszył, stał wyluzowany tuż obok, opierając się nonszalancko o starą, pochyloną latarnię. Obaj patrzyli w moim kierunku. Żadnego zabezpieczenia pleców. Przesunąłem się nieco, by mieć za plecami ścianę kamienicy pozbawioną okien.

- Spóźniłeś się niemal. - stwierdził Bolesław. - Usiądziesz? - wskazując głową na drugą połowę beczki. Rozejrzałem się wokoło, ale była cisza i spokój. Przysiadłem na beczce, kładąc plecak przy sobie, a automat jeszcze bliżej.

- Pogonili mnie trochę *Stadionowcy*. Trójka, wracali z ubitym psem. Robią się coraz bardziej zdesperowani. Musimy zmienić system - powiedziałem, rozglądając się.

- Zmienić system? Co masz na myśli? - zapytał Bolesław.

- I przesunąć się gdzieś dalej na zachód. Może nawet za rzekę - rzuciłem, siadając na drugiej połowie beczki. - Flary. Przez nie zostałem zauważony. Nie używamy ich od dzisiaj - dodałem.

- Nam i tak się już kończą - usłyszałem w odpowiedzi i skinąłem głową.

- Mogę wam przynieść moje następnym razem, ja nie korzystam. Ale do wskazania miejsc też nie będziemy ich używać. To zbyt niebezpieczne. Co macie dla mnie? - zapytałem.

- A gdzie myślałeś przerzucić spotkania? Faktycznie aż tak daleko, za Białą? - Skinąłem głową.

- Chociażby pod zamek. Albo przy Prezydencie... chociaż nie - zmieniłem szybko zdanie, zastanawiając się. Cholera, nie przygotowałem się na tę rozmowę. - Prezydent to za blisko was. Zamek to takie maksimum. Może McDonald? - zaproponowałem.

- Do maka na bigmaka - zarechotał dość głupio Paweł, ale zignorowałem go zupełnie. Bolesław zamilkł na chwilę.

- A Reksiu? - zaproponował Bolesław. Myślałem przez chwilę. Pokręciłem głową.

- Też za blisko was, za bardzo otwarta przestrzeń - westchnąłem w końcu i nagle wpadłem na pewien pomysł. Machnąłem teatralnie ręką. - No dobra, niech stracę. Sowa.

- Sowa?! - Paweł zadarł głowę wysoko i rozejrzał się. - Gdzie? - Gdyby nie maska, wykonałbym pewnie teraz pełnego pogardy facepalm'a, a tak, mogłem tylko z politowaniem popatrzeć na Bogusława. W sumie teraz też byliśmy niedaleko *Sowy*, czyli starej kamienicy. Teraz częściowo już się zawaliła, ale kiedyś, przed *Katastrofą*, ktoś namalował na jej pozbawionej niemal zupełnie okien ścianie wielki mural przedstawiający właśnie sowę.

- Dobra. Niech będzie Sowa - powiedział Bolesław, doskonale wiedząc, o którym miejscu mówię. - Miejsce mamy dogadane. A czas? - zapytał. Wzruszyłem ramionami. Nawet gdyby handel się nie odbył, miałem zapasów od nich na dwa miesiące. Byłem takim małym chomikiem, który zbierał wszystko, co było potrzebne w nadmiernych ilościach na później. Zwykle zawsze wychodziło mi to na plus.

- Miesiąc? - zapytałem. Bolesław patrzył na mnie, jakby analizując potrzeby, ale w końcu skinął głową.

- A flary? Odpadają? Nie chcesz ich? - Pokręciłem zdecydowanie głową.

- Koniec tego. Zarówno *Stadionowcy*, jak i zwierzaki już się tego nie boją. Za to wiedzą, że tam, gdzie flary, tam jesteśmy my. A ludzie nie są już na szczycie piramidy, wiesz o tym. Koniec flar. Trzydzieści dni od dzisiaj, w okolicy *Sowy*, przed zachodem - powiedziałem i popatrzyłem na zegarek, by zapamiętać

dzień, a Bolesław popatrzył na mnie zaskoczony.

- Chcesz wracać po ciemku? - Popatrzyłem na niego gniewnie a potem zerknąłem z ukosa na Pawła.

- Ja nigdy nie wracam. Ja zawsze krążę. To jest Moje Miasto a ja jestem jego Duchem. Nie boję się ciemności - powiedziałem, kłamiąc jak z nut. Noc była równa śmierci. Dzikie psy wyruszały na największe łowy, na nocnym niebie krążyły gargulce... a na ziemi biegały jeszcze inne małe tałatajstwa. Ledwo op nowałem dreszcz. Noc była paskudna. Z tym, że blisko Sowy miałem kilka pewnych kryjówek do przeczekania nocy. Nie bałem się.

- Spoko, Duch. Nam pasuje. Jesteśmy umówieni? - Wystawił w moją stronę rękę.

- Jesteśmy - powiedziałem i lewą ręką przybiłem mu "żółwika". Prawą wciąż trzymałem karabinek. - Co macie dla mnie na wymianę? - zapytałem, wreszcie poruszając temat, dla którego się spotkaliśmy.

- Dziesięć sztuk AA, pięć R-Dwudziestek, dwa samochodowe - powiedział Bolesław. No właśnie, prąd był moją bolączką. Nie miałem go. Do niewielkich latarek czołowych, które musiałem mieć na wypadek konieczności walki w nocy, do licznika Geigera, do ogrzewania wnętrza Rosomaka zimą był potrzebny prąd. - Wszystkie baterie do zwrotu, są recyklingowane. Masz poprzednie? - zapytał Bolesław. Skinąłem głową.

- Do tego mam też zamienniki pochłaniaczy do filtrów z naszej bawełny i naturalne leki - dodał. Uśmiechnąłem się w duszy, słysząc ostatnie słowa. "Naturalnymi lekami" było nic innego, jak zestawy wysuszonych, sproszkowanych roślin, zawierających ułamki potrzebnych witamin i minerałów do jakotakiego funkcjonowania. Ziołolecznictwo wróciło do łask, ale tak naprawdę ten, kto nie miał wystarczająco silnego organizmu na dzisiejsze czasy, umierał prędzej czy później. No, nie oszukujmy się, zwykle prędzej. Naturalna selekcja zbierała prawdziwe żniwo. Zwykle przeziębienie potrafiło zabić. Bolesław zamilkł, czas więc było na moją ofertę. Doskonale wiedział, że miał mniej, niż oczekiwałem po ostatnim spotkaniu.

- Dziesięć paczek MRE z terminami na najbliższe pół roku. Cztery magazynki po trzydzieści nabojów 7,62mm do Kałasznikowa. Do tego piętnaście opakowań sterylnych opatrunków jednorazowych - przedstawiłem stan połowy tego, co miałem w plecaku. Bolesław zmrużył oczy.

- Umawialiśmy się na wyższe ilości - powiedział. Skinąłem głową, po co było udawać. Miałem więcej. Pół roku temu kilku ludzi postanowiło samodzielnie przeszukać mój teren. Wystarczyło, że jeden z nich nadział się na moją pułapkę - granat, z odpowiednio przygotowanym potykaczem. Pechowiec zabił na miejscu siebie i ciężko ranił drugiego. Resztę pogoniły dzikie psy. Nie było mi ich żal. Przecież na wszystkich wejściach były wyraźne ostrzeżenia, czym to może grozić, również na wejściach do mojej hali. A teren batalionu w ogóle był jednym ogromnym z polem pełnym "ajdików", które tylko ja umiałem obejść, bo wiedziałam, gdzie są. Zresztą co jakiś czas wybuchały i potem zwykle okazywało się że złapał się dziki pies.

- Więcej póki co nie znalazłem. To miasto ma ograniczone zasoby - powiedziałem i sięgnąłem do plecaka, by go zamknąć. Cóż, jakoś poradzę sobie bez baterii. Już wkrótce i tak będę całkiem niezależny.

- Poczekaj, Duch, pogadajmy - powiedział Bolesław i nie czekając na moją reakcję, mówił dalej. - Jest nam coraz ciężiej. W zeszłym miesiącu ci z Sarniego znów podeszli pod nasz teren. Musimy się bronić nie tylko przed zwierzętami, przed nimi również. Ty poszedłeś na łatwiznę, jesteś sam, dla siebie... - urwał, widząc zmianę w moim spojrzeniu. Zdecydowanie nie było pójściem na łatwiznę odejście z obozu, gdzie raz na kilka nocy mogłeś naprawdę bez strachu położyć się spać, wiedząc, że wokół ciebie są inni z bronią. W mojej kryjówce mój sen stał się tak płytki, że czasem budziły mnie krople wody kapiące na mojego Rosomaka, gdy na zewnątrz padało.

- Dziesięć paczek MRE z terminami na najbliższe pół roku. Cztery magazynki po trzydzieści nabojów 7,62mm. Do tego piętnaście opakowań sterylnych opatrunków jednorazowych - powtórzyłem bez mrugnięcia okiem. Bolesław westchnął, po czym skinął głową. Szybko przerzuciłem wyliczone rzeczy

oraz puste baterie i akumulatory do naładowania do wózka, który mieli ze sobą, a potem zabrałem to, co mi zaoferował. Miałem zamknąć plecak, ale w końcu popatrzyłem w oczy Bolesława. Widziałem w nich zmęczenie. Nie takie zwykłe zmęczenie, po ciężkim dniu, ale takie ogólne zmęczenie życiem. Westchnąłem ciężko i wsunąłem rękę do plecaka. Wyciągnąłem ze środka jedną paczkę MRE i jeden magazynek, po czym podałem mu wprost w jego dłonie.

- To nie handel, to osobisty prezent dla ciebie, za wzajemny szacunek - dodałem i popatrzyłem na towarzyszącego mu chłopaka. - Ucz się tego, młody. W tym świecie tylko to nam zostało - rzuciłem i zamknąłem plecak, po czym sprawdziłem jego ciężar. Akumulatory znacznie podniosły jego wagę, ale w razie czego miałem po drodze kilka kryjówek. Bolesław westchnął ciężko, tak, że aż popatrzyłem na niego zaskoczony.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Duch - powiedział spokojnie. Zmrużyłem nieco oczy, po czym spokojnie, bez nerwów, chwyciłem automat, ruchem takim, by wyraźnie dać do zrozumienia, że odchodzę, a nie chcę walczyć. Wstałem, wciągając ciężki plecak na ramiona. Widziałem, jak chłopak, który stał obok, cały czas mnie obserwował. Trzymał swojego Kałasznikowa nieco bardziej pewnie, wciąż jeszcze jednak z włączoną blokadą zamka. Pewnie nawet o tym nie pamiętał. Ja myślałem o tym bez przerwy. Broń odbezpieczona, pełny magazynek - zawsze i wszędzie.

- Co jest? - zapytałem w końcu, po chwili milczenia. Teraz stałem już pochylony do przodu, jak żołnierz gotowy do szturm, z dłońmi na uchwytach automatu, ale z wyraźnie wyprostowanym palcem tuż nad spustem i lufą opuszczoną do ziemi. To nie miało znaczenia, uniesienie trwało pół sekundy, ale skutecznie maskowało ewentualne zamiary.

- Uciekły nam dwie dziewczyny z obozu - powiedział spokojnie Bolesław. - Szesnastka i dziewiątka - dodał, określając wiek obu dziewczyn. Westchnąłem cicho. Skoro starsza dziewczyna miała szesnaście lat, to miała już pewnie za sobą ze dwie, może i trzy ciąży. Skoro wciąż żyła, to należałoby pogratulować siły organizmu. Młodsza będzie ciężarna pewnie zaraz po pierwszej miesiączce, gdy zostanie uznana za kobietę, mogącą dać kolejne dzieci i walczyć o to, by ludzie jednak przetrwali. Wzruszyłem ramionami. To kompletnie nie był mój problem.

- Kiedy uciekły? - zapytałem od niechcenia.

- Sześć dni temu - powiedział Bolesław.

- Co zabrały ze sobą? - zapytałem znów.

- Plecak z jedzeniem i wodą, proste maski smogowe.

- Którędy poszły? - zapytałem po raz trzeci.

- Najpewniej tunelem kolejowym pod Prezydentem. Jakiś czas temu go oczyściliśmy i zamontowaliśmy kraty. Nie na zamki, zwykłe siatki przeciwko zwierzętom z klamkami, na tyle skomplikowanymi jednak, by *Stadionowcy* nie umieli sobie z tym poradzić. - Popatrzyłem na niego czujnie. Tunel był otwarty? Musiałem to koniecznie zapamiętać. Dość niebezpiecznie zbliżał się do moich rejonów. Miał długość dwustu sześćdziesięciu ośmiu metrów i przebiegał pod ścisłym centrum miasta, bezpośrednio pod jednym z większych hoteli w mieście. Można było niepostrzeżenie podejść bardzo blisko moich terenów.

- A jakaś broń? - zapytałem, ale Bolesław przecząco pokręcił głową.

- Ze dwa noże.

- Więc już nie żyją - powiedziałem spokojnie. Nie było innej możliwości. Nie mogły przetrwać bez żadnej broni tyle dni, o ile nie miały bardzo, bardzo dużo szczęścia. - Do zobaczenia znów - dodałem i ruszyłem, by odejść.

- Do zobaczenia. Ale Duch, gdybyś przypadkiem się na nie natknął... One należą do nas - powiedział Bolesław. Jestem pewny, że powiedział to tylko dlatego, że jego towarzysz był obok. Nie był wyznawcą totalnie przedmiotowego traktowania kobiet. Ale tak naprawdę nie miał wyjścia. To znaczy - mógł zrobić to, co ja kiedyś. Uciec.

- Teraz one należą już tylko do Miasta - powiedziałem. - Ono zdecyduje, co z nimi zrobić - dodałem filozoficznie, po czym zniknąłem za rogiem. Oczywiście, nie poszedłem prosto do swojej kryjówki. Przez dobrych kilkanaście minut kluczyłem jeszcze po okolicznych zniszczonych kamienicach, sobie tylko znanymi ścieżkami, wśród odpowiednio zakamuflowanych pułapek i potykaczy. Musiałem być ostrożny, zawsze ktoś mógł mnie przecież śledzić.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 07.05.2019 10:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.